

**Juan  
Gabriel**

**Vásquez**

**A GDY**

**OBEJRZYSZ  
SIĘ ZA  
SIEBIĘ**

przełożyła Katarzyna Okrasko

Tytuł oryginału: *Valver la vista atrás*

Redakcja: Maja Lipowska

Projekt okładki: Krzysztof Rychter

Zdjęcie na okładce: © Tom Kelley ArchiveRetrofile RF / Getty Images

DTP: Dariusz Ziach

Korekta: Adam Osiński, Maja Lipowska

Redaktor inicjujący: Bartłomiej Nawrocki

Copyright © Juan Gabriel Vásquez, 2021

Copyright © for the Polish translation by Katarzyna Okrasko, 2022

Copyright © for the Polish edition by Echa an imprint of Wydawnictwo Czarna Owca, Warszawa 2022

Wydanie I

Cytaty wykorzystane w książce przełożyli:

Jerzy Czech (Grosman), Adam Dziadek (Barthes), Jerzy Iwaszkiewicz (Hernandez), Carlos Marrodán Casas (*Ballada o żołnierzu*), Piotr Sawicki (Machado), Stanisław Strumph-Wojtkiewicz (Gorki).

Zdjęcia w książce pochodzą z prywatnych archiwów Sergia Cabrery, Marianelli Cabrery i Carla Crooka.

Druk i oprawa: **opolgraf**  DRUKARNIA

Wydrukowano na papierze Ecco Book Cream 60g/m<sup>2</sup>, vol. 2,0  
dystrybuowanym przez **antalis** Just ask Antalis

ISBN 978-83-8252-056-9

WYDAWNICTWO  
**CZARNA OWCA**

ul. Wspólna 35/5, 00-519 Warszawa, [www.czarnaowca.pl](http://www.czarnaowca.pl)

Dział handlowy tel.: +48 22 616 29 36, e-mail: [handel@czarnaowca.pl](mailto:handel@czarnaowca.pl)

Redakcja tel.: +48 22 616 29 20, e-mail: [redakcja@czarnaowca.pl](mailto:redakcja@czarnaowca.pl)

Sergio Cabrerze i Silviu Jardim Soares  
Marianelli Cabrerze



Bo według naszej wizji rzeczywistości powieść powinna być biografią człowieka albo przypadku, a każda biografia człowieka albo przypadku powinna być powieścią.

Ford Madox Ford



Część pierwsza

---

Spotkanie w Barcelonie





# I

Sergio Cabrera, jak sam mi opowiedział, był od trzech dni w Lizbonie, kiedy dowiedział się o wypadku ojca. Telefon zaskoczył go naprzeciwko ogrodu na Placu do Império, parku o szerokich brukowanych ścieżkach, gdzie jego córka Amalia, wówczas pięcioletnia, próbowała ujarzmić nieposłuszny rower, który właśnie dostała w prezencie. Sergio siedział obok Silvii na kamiennej ławce, ale w tym momencie musiał oddalić się w kierunku wejścia do parku, jakby bliskość innej osoby nie pozwalała mu się skoncentrować na szczegółach tego, co się stało. Usłyszał, że Fausto Cabrera czytał gazetę na kanapie w swoim mieszkaniu w Bogocie i przyszło mu do głowy, że drzwi nie są zabezpieczone zasuwką, i kiedy gwałtownie wstał, zrobiło mu się słabo. Nayibe, jego druga żona, która poszła za nim, żeby powiedzieć mu, by usiadł na krześle i o nic się nie martwił, bo drzwi są zamknięte, złapała go w ramiona i tylko dzięki temu nie upadł na podłogę. Potem zadzwoniła do ich córki Liny, która była na kilkudniowym wyjeździe w Madrycie, i to ona właśnie przekazywała teraz wiadomość Sergiowi.

„Zaraz przyjedzie karetka”, powiedziała. „Co robimy?”

„Czekamy”, powiedział Sergio. „Wszystko będzie dobrze”.

Ale tak naprawdę w to nie wierzył. Chociaż Fausto zawsze się cieszył godnym pozazdroszczenia zdrowiem i siłą fizyczną kogoś młodszego o dwie dekady, prawdą było, że skończył właśnie dziewięćdziesiąt dwa intensywnie przeżyte lata, a w tym wieku wszystko staje się poważne: choroby są groźniejsze, wypadki bardziej niebezpieczne. Wciąż wstawał o piątej nad ranem na sesje tai-chi chuan, ale miał coraz mniej energii i pozwalał sobie na coraz większe ustępstwa wobec zmęczonego ciała. Jako że nie stracił ani krzty ze swojej przytomności umysłu, niesamowicie go to irytowało. Dzielenie z nim życia, Sergio wiedział o tym tylko z opowieści, stało się pełne napięć i trudne, dlatego nikt nie oponował, kiedy ogłosił, że wybiera się w podróż do Pekinu i Szanghaju. Przez trzy miesiące odwiedzał miejsca, w których zawsze był szczęśliwy i gdzie jego dawni uczniowie z Instytutu Języków Obcych zorganizowali kilka uroczystości na jego cześć: czy coś mogło pójść nie tak? Owszem, równie długa podróż w tak zaawansowanym wieku nie wydawała się najrozsądniejsza, ale nikt nigdy nie zdołał przekonać Fausta Cabrery, by nie robił czegoś, co wbił sobie do głowy. Pojechał więc do Chin, wysłuchał pochwalnych słów i wrócił do Kolumbii gotów świętować swoje urodziny. A teraz, kilka tygodni po powrocie z drugiego końca świata, uległ wypadkowi w domu, w przestrzeni oddzielającej kanapę od drzwi wejściowych, i starał się kurczowo ucześcić życia.

Trzeba podkreślić, że było to nie byle jakie życie. Fausto Cabrera był postacią, o której ludzie teatru (ale także telewizji i kina) mówili z szacunkiem, jaki budzą pionierzy, mimo że zawsze należał do osób kontrowersyjnych i miał tyłuż przyjaciół, co wrogów. Jako pierwszy zaczął stosować metodę Stanisławskiego, deklamując wiersze, a nie tylko do budowania postaci dramatu; założył szkoły teatru eksperymentalnego w Medellín i Bogocie, a raz odważył się nawet

wystawić sztukę Moliera na arenie walki byków Santamaría. Pod koniec lat czterdziestych był autorem audycji radiowych, które zmieniły sposób, w jaki słuchacze postrzegali poezję, a potem, kiedy do Kolumbii zawitała telewizja, był jednym z pierwszych reżyserów teatru telewizji i jednym z jego najbardziej rozpoznawalnych aktorów. Później, gdy czasy zrobiły się niespokojne, korzystał ze swojej reputacji artysty scenicznego jako fasady pozwalającej mu działać w komunistycznym podziemiu, czym zapracował sobie na nienawiść wielu trwającą dopóty, dopóki owe czasy nie odeszły w zapomnienie. Młodsze pokolenia pamiętały go szczególnie za rolę w *Strategii ślimaka*, najbardziej znanym filmie Sergia i być może tym, który przyniósł mu największą satysfakcję; Fausto zagrał w nim Jacinta, hiszpańskiego anarchistę przewodzącego małej rewolucji ludowej w samym sercu Bogoty. Wcielił się w niego z taką naturalnością i widać było od razu, że czuje się tak znakomicie w skórze swojego bohatera, że Sergio, mówiąc o filmie, z upodobaniem podkreślał:

„Po prostu zagrał samego siebie”.

Teraz, po wyjściu z ogrodów, idąc razem z Sylwią między klasztorem Hieronimitów a wodami Tagu i śledząc uważnie Amalię, która z przodu walczyła z kierownicą rowerka, Sergio zastanawiał się, czy nie mógł odwiedzać go częściej w ostatnich dniach. Nie byłoby to jednak łatwe, gdyż w jego własnym życiu wydarzyły się dwie rzeczy pochłaniające czas i uwagę, i nie pozostawiały miejsca na inne zmartwienia. Z jednej strony serial telewizyjny, z drugiej próba ratowania małżeństwa. Serial opowiadał o życiu Jaimego Garzóna, przyjaciela i kolegi z pracy, którego błyskotliwa kariera satyryka politycznego zakończyła się w 1999 roku, kiedy zginął podziurawiony kulami skrajnie prawicowych *sicarios*, czekając w swojej furgonetce na zielone światło. Małżeństwo natomiast wykołajało się z przyczyn niejasnych tak dla Sergia, jak

dla jego żony. Silvia była Portugalką dwadzieścia sześć lat od niego młodszą. Poznali się w 2007 roku w Madrycie i przez wiele lat żyli szczęśliwie w Bogocie, aż do czasu, gdy coś przestało działać tak, jak powinno. Ale co to było? Chociaż nie udało im się poznać przyczyny, separacja wydała się najlepszym rozwiązaniem, a może najmniej bolesnym, i Silvia wyjechała do Lizbony, ale nie tak, jakby wracała do swojego kraju i języka, tylko jakby przyjechała z wizytą, uciekając przed burzą.

Sergio starał się znieść nieobecność jej i córki, ale miał pewność, że ta separacja sprawiała mu większy ból, niż był skłonny przyznać. Wówczas pojawiła się okazja, na którą czekał, sam o tym nie wiedząc: Filmoteka Katalońska zorganizowała retrospektywę jego filmów, a organizatorzy wydarzenia zaprosili go na długi weekend od czwartku, 13 października, do niedzieli. Najpierw miało się odbyć uroczyste otwarcie, jedna z tych ceremonii z kieliszkiem cavy i muzyką na żywo, pełna uścisków dłoni i szczodrych pochwał, tak niepasujących do jego wrodzonej nieśmiałości. Sergio nigdy nie odrzucał jednak zaproszeń na podobne imprezy, bo uważał, że nawet wielka nieśmiałość nie upoważnia do bycia niewdzięcznym. A potem przez trzy dni Sergio miał uczestniczyć w pokazach swoich filmów i rozmawiać o nich z zainteresowaną i obeznaną z kinem publicznością. Okazja była doskonała. Zdecydował natychmiast, że skorzysta z zaproszenia do Barcelony, żeby spędzić też kilka dni w Lizbonie, w towarzystwie żony i córki, i spróbować scalić rodzinę, która się rozpadła, albo przynajmniej zrozumieć przyczyny tego rozpadu. Filmoteka kupiła mu bilety tak, by mógł zrealizować swój plan.

Kiedy więc Sergio przyjechał na lotnisko w Bogocie 6 października, miał już zarezerwowane połączenie do Lizbony na następnny dzień. Z poczekalni zadzwonił do ojca, nigdy

w życiu nie wyjechał z kraju, nie pożegnawszy się z nim przez telefon. „Kiedy wracasz?”, zapytał Fausto. „Za piętnaście dni, tato”, odrzekł Sergio. „No dobrze”, powiedział Fausto. „Zobaczymy się, jak wrócisz”. „Tak, do zobaczenia po powrocie”, odparł Sergio, myśląc, że powtarzają te same zdania, które mówili sobie tysiące razy, i że te proste słowa nie były już tym, czym były kiedyś: straciły wartość, jak monety wycofane z obiegu. Na lotnisku Prat czekał na niego jeden z organizatorów retrospektywy, Sergio zgodził się bowiem przywieźć w bagażu podręcznym wszystkie potrzebne materiały: twarde dyski, na których zachowano oczywiście filmy, ale także fotosy z planu, a nawet oryginalne scenariusze, które FilMOTEKA miała wystawić w swoich witrynach. Organizator był szczupłym brodaczem w okularach w grubych oprawkach z czarnego plastiku i w koszuli więźnia z karykatury, wziął od niego walizkę i z wyrazem niezmaconego spokoju i zapytał Sergia o osobę towarzyszącą. „Żeby zarezerwować pokój dwuosobowy”, wyjaśnił. „Jeśli to potrzebne”. „Przyjedzie mój syn”, odparł Sergio. „Ma na imię Raúl. Ale w FilMOTECE już o tym wiedzą”.

Sergio podjął decyzję kilka dni temu. Silvia nie mogła by mu towarzyszyć, nawet gdyby wszystko się między nimi układało, i to nie tylko z powodu swojej pracy, z której nie mogła się zwolnić, ale także dlatego, że Amalia miała właśnie pójść do nowej szkoły. Najnaturalniejszą rzeczą na świecie wydało się więc Sergiowi zaproszenie Raúla, jedyne go syna z poprzedniego małżeństwa, który zaczął ostatnią klasę szkoły średniej i w każdym mejlu pytał, kiedy się znowu zobaczą. Nie widzieli się od dwóch lat, bo Raúl mieszkał z matką w Marbelli, a Sergiowi nie było to po drodze. Syn miał wsiąść w samolot o czwartej po południu, kiedy skończy lekcje, i przylecieć do Barcelony, tak żeby zdążyć na ceremonię inauguracji i spędzić prawie trzy dni z ojcem, oglądając filmy,

których jeszcze nie widział, i przypominając sobie te znane, ale tym razem na dużym ekranie. Jakby powodów było mało, Raúl nigdy dotąd nie był w Barcelonie i Sergiowi wydała się kusząca myśl, że pokaże synowi miasto i jednocześnie swoje filmy. O tym myślał Sergio, gdy lądował w Lizbonie przed dziewiątą wieczór, a kiedy przy wyjściu zobaczył twarz Silvii i jej promienny uśmiech, ogarnęło go złudzenie, że nie przyjechał z wizytą, tylko wrócił do domu. Wtedy zauważył, że Amalia też wyszła mu na powitanie, i chociaż dla niej było już późno, miała dość siły, żeby rozłożyć ramiona i uwiesić mu się na szyi, a Sergio zrozumiał, że warto było tu przyjechać.

Spotkanie było tak piękne, że nawet nie przejęli się zagubieniem walizki przez linie lotnicze. Z trzech, które Sergio oddał na bagaż w Bogocie, tylko jedna dotarła nieuszkodzona do celu, a kobieta za żółtą ladą powiedziała, że muszą wrócić na lotnisko w poniedziałek rano. Ale żaden problem ani niedogodność nie mogły zmącić Sergiowi szczęścia z powodu wizyty u rodziny. W sobotę, o wiele wcześniej niż sugerowałyby to różnica czasu, pozwolił, by Amalia wzięła go za rękę i pokazała mu dzielnicę Benfica, która ograniczała się dla niej do ulicy Manuela Ferreiry de Andrade i jej najważniejszego lokalu: cukierni Califa. Kupił jej ulubione ciastka, zaprowadził na urodziny przyjaciółki, wysłuchał, jak śpiewa portugalskie piosenki, i próbował śpiewać razem z nią; potem spędził niedzielę z córką i z Silvią. W nocy powiedział Silvii: „Jestem bardzo zadowolony, że przyjechałem”. I była to najszczęśliwsza prawda.

Po telefonie od przyrodniej siostry Liny poczuł się tak, jakby oberwał w twarz od bezczelnej rzeczywistości. Tego ranka odebrali z Silvią z lotniska zagubione walizki, a wracając, kupili Amalii zbyt różowy rower, ze świecidełkami na baterie na kierownicy i fotelikiem dla lalki z tyłu, i jeszcze kask pod kolor roweru; a potem poszli do ogrodu na Pracą

do Império naprzeciwko klasztoru Hieronimitów, by go wypróbować, i tam właśnie zastała ich wiadomość. Tego dnia niebo było przejrzyste, wody Tagu połyskiwały bielą, a kamienny bruk lśnił tak bardzo, że Sergia rozboleły oczy i musiał włożyć ciemne okulary, żeby dojść tam, gdzie zaparkowali samochód Silvii.

Była siódma wieczorem, gdy dotarli na ulicę Manuela Ferreiry de Andrade. Pod numerem dziewiętnastym Sergio wyjął z bagażnika dwie ciężkie walizki i pociągnął je do korytarza, a Silvia szukała miejsca do zaparkowania. I wtedy znów zawibrował jego telefon w kieszeni, a na ekranie ukazał się ten sam numer co wcześniej. Odbierając, Sergio wiedział już, co powie mu głos Liny, domyślił się wszystkich słów, bo nie ma ich zbyt wielu, by wyrazić to, co miała powiedzieć. Kiedy dołączyły do niego żona i córka, wciąż stał w korytarzu na marmurowej posadzce, pomiędzy kolumnami wyłożonymi zielonymi płytkami, zastygły w bezruchu, chociaż przeciąg smagał go po twarzy, ze smutnymi walizkami czekającymi obok jak kanapowe pieski; czuł jednak, że mimo wszystko los okazał się łaskawy, bo nie chciałby usłyszeć tej wiadomości w żadnym innym miejscu na świecie, w żadnym innym towarzystwie. Wziął Silię za rękę, patrząc, jak Amalia odjeżdża na rowerze, i powiedział:

„Przed chwilą umarł”.

Pierwsze, co zrobił, kiedy znaleźli się już w mieszkaniu, to zamknął się w pokoju Silvii, żeby zadzwonić do siostry Marianelli. Przez długie telefoniczne sekundy płakali razem, nie mając potrzeby mówienia czegokolwiek, jedynie dzieląc przerażające poczucie, że całe życie – nie tylko życie Fausta Cabrery – właśnie się zamknęło. Marianella była od Sergia dwa lata młodsza, ale z powodów, których nigdy

nie próbowali wyjaśnić, ta różnica miała w sobie zawsze coś nierealnego albo arbitralnego, być może dlatego, że kompensowały ją cechy osobowości – młodsza siostra była zawsze odważniejsza, bardziej zbuntowana, pyskata, a starszy brat urodził się obdarzony wadą niepewności i skłonnością do wahania się. Ale przeżyli razem tyle rzeczy, tak różnych od tych, które powinni byli przeżyć, że od wczesnej młodości byli wobec siebie w szczególny sposób lojalni, jak osoby wiedzące, że ich życie pozostanie niezrozumiałe dla innych i jedynym sposobem, by być szczęśliwym, to pokornie przyjąć to do wiadomości. Sergio próbował z daleka złagodzić smutek siostry i nie przyszło mu do głowy nic lepszego, niż opowiedzieć jej wszystko, co wiedział o śmierci ojca. Opowiedział o kanapie, na której czytał gazetę, o uporze, z jakim wstał, by zamknąć na zasuwkę zamknięte wcześniej drzwi, jak osunął się w ramiona żony. Opowiedział, że Fausto nawet nie zdążył trafić do karetki, bo kiedy dotarli ratownicy, jego czynności życiowe ustały. Akt zgonu wypisano na miejscu, a teraz czekali na pracowników zakładu pogrzebowego. Tego wszystkiego dowiedział się od Liny, która zakończyła zdaniem nieco tajemniczym i pompatycznym:

„Umarł, stojąc, Sergio. Tak jak żył”.

Był poniedziałek 10 lipca 2016 roku. Ceremonia inauguracji w Filmotece miała się odbyć 13, w czwartek o wpół do ósmej wieczorem. Sergio skończył rozmawiać z Marianellą i zaczął kalkulować w głowie, sumować czas lotu i przesiadek, porównując przed komputerem możliwe rozkłady połączeń pomiędzy Hiszpanią a Kolumbią. Chociaż różnica czasu mu nie sprzyjała, zrozumiał, że nie było to niemożliwe. O ile by się pospieszył, mógł polecieć do Bogoty, zobaczyć po raz ostatni twarz swojego ojca, złożyć kondolencje Naibe i uściskać Marianellę, i dotrzeć do Barcelony z jednodniowym opóźnieniem, żeby wziąć udział w reszcie pokazów, obejrzeć



filmy i odpowiedzieć na pytania publiczności. Ale w nocy, po kolacji z Silvią i Amalią, Sergio położył się na szarej kanapie przed wyłączonym telewizorem i nie wiedział, w której dokładnie chwili zaczął czuć coś, czego nie czuł nigdy wcześniej. To tu, w obcym mieszkaniu o drewnianych podłogach, była jego rodzina, rodzina, która już raz mu uciekła; jakby tego było mało, w Barcelonie miał czekać na niego Raúl i nagle ta podróż nabrała dla niego posmaku ponownego spotkania. Być może Sergio myślał właśnie o tym, kiedy podjął decyzję, która nie wydała mu się wówczas tak dziwna, jak wyda mu się później.

„Nie pojedę”, powiedział Silvia.

Nie pojedzie do Bogoty, nie pójdzie na pogrzeb ojca. Zobowiązania, jakie miał wobec Filmoteki, wyjaśni tym, którzy zażądają wyjaśnień, nie dawały mu czasu na to, by pojechać i wrócić, a nie chciał przecież wzgardzić pracą i pieniędzmi, które organizatorzy poświęcili, by przygotować retrospektywę jego twórczości. Tak, to było właściwe rozwiązanie. „Bardzo mi przykro”, powie żonie ojca, i mówiąc to, nie skłamię. Utrzymywał z nią dobre stosunki, ale nigdy, przez tyle lat, nie stali się sobie naprawdę bliscy. Ona nie zatęskniła za obecnością Sergia, on, z powodów, których nie umiał ująć we właściwe słowa, nie poczułby się do końca serdecznie witany w Bogocie.

„Jesteś pewien?”, zapytała Silvia.

„Najzupełniej”, odparł Sergio. „Długo się nad tym zastanawiałem. I moje miejsce jest wśród żywych, nie wśród zmarłych”.

Wszystkie media w Kolumbii poinformowały o śmierci Fausta Cabrery. Kiedy Sergio dotarł do Barcelony, zasnu-ty ołowianymi chmurami poranek chylił się ku końcowi,

a poranną prasę kolumbijską zdążyły już zalać wspominki o życiu ojca. Czytając wiadomości z tych dni, ma się wrażenie, że nie było w całym kraju aktora, który nie chodziłby razem z nim na zajęcia do mistrza Sekiego Sano, ani teatromana nieobecnego na arenie walki z bykami podczas spektaklu *Chory z urojenia*, ani kolegi, który nie zadzwoniłby z gratulacjami, kiedy dostał nagrodę od Ministerstwa Kultury za całokształt twórczości. Rozgłosnie radiowe sięgnęły po stare audycje, w których Fausto Cabrera recytował wiersze Josego Asunción Silvy albo Leona de Greiffa, a w jakimś zakątku internetu wypłynął ponownie artykuł napisany przez Sergia wiele lat wcześniej dla madryckiego „ABC”. „Prawdziwym nacionalistą – napisał wówczas – nie jest ten, kto przez całe życie usiłuje udowodnić, że jego kraj jest najlepszy, jest nim ten, kto próbuje uczynić lepszym kraj, który go przyjął, gdyż to najwspanialszy sposób uczczenia tego, w którym przyszedł na świat”. A portale społecznościowe zareagowały jak zwykle, z ich szamba wychynęły postacie o dumnie brzmiących pseudonimach – Patriota, Obrońca Flagi, Wielki Kolumbijczyk – które przypomniały działalność komunistyczną Fausta Cabrery, jego związki z maoistyczną partyzantką, i obwieszczały, że dobry komunista to martwy komunista. Telefon Sergia ciągle dzwonił, wyświetlając ukryte albo nieznanym numerem, a jego WhatsApp wypełnił się prośbami i pytaniami, na które usiłował nie odpowiadać z całą kurtuazją, na jaką było go stać. Wiedział, że nie może ukrywać się w nieskończoność, ale przez kilka godzin, im dłużej, tym lepiej, chciał zachować dla siebie pamięć o ojcu, wspomnienia – te dobre i te inne – które już zaczynały go prześladować.

Filmoteka Katalońska ulokowała go w luksusowym hotelu przy Rambli del Raval, w jednym z tych miejsc, gdzie wszystkie ściany są oknami, a wszystkie światła są kolorowe, ale nie miał czasu, żeby nacieszyć się pokojem; organizatorzy zabrali

go od razu na powitalny lunch do pobliskiej restauracji. Chociaż nikt nie mówił o tym głośno, Sergio zorientował się natychmiast, że wszyscy wiedzieli już o tym, co się stało, ich twarze zdradzały napięcie, jakby próbowali wybadać, na ile sympatii mogą sobie pozwolić i czy serdeczny uśmiech będzie przekroczeniem granicy. Zanim podano deser, dyrektor programowy, miły człowiek o dużych oczach i w okularach bez oprawek, którego brwi unosiły się niemal z czułością, kiedy mówił o kinie, przerwał rozmowę, żeby podziękować Sergiovi za jego obecność, oświadczył dobitnie, że bardzo się cieszą z jego przyjazdu do Barcelony, ale nie obrażą się ani trochę, jeśli uzna, że wolałby jednak pojechać do Kolumbii; retrospektywa została zaplanowana, filmy znalazły się w Filmotece, wystawa była gotowa, ale jeśli Sergio chciałby jednak zrezygnować z udziału w uroczystościach, żeby towarzyszyć rodzinie i pochować ojca, doskonale to rozumieją. Sergio zdążył już go ocenić: Octavi Martí zrobił wiele filmów dla kina i telewizji i mówił o wielkich reżyserach w sposób tak osobisty, jak potrafią tylko ci, którzy naprawdę ich zrozumieli. Czasem wydawało się, że obejrzał wszystkie filmy świata, a czasem, że jako krytyk wszystkie je recenzował. Sergio polubił go natychmiast, ale nie tylko z tego powodu odpowiedział, jak odpowiedział:

„Nie, zostanę”, odparł.

„Jeśli chcesz, mógłbyś pojechać i wrócić na zamknięcie. Podamy kieliszek wina na zakończenie, porozmawiasz z widzami i już”.

„Dziękuję”, powiedział Sergio. „Ale lubię dotrzymywać obietnic”.

Kiedy lunch dobiegał końca, na krzesło na prawo od Sergia, które opustoszało w tajemniczy sposób, kiedy przyszła kolej na kawę, usiadła młoda dziewczyna z teczką i jej zawartość – kilka stron starannie uporządkowanych

informacji – wyjaśniała mu monotonnym głosem nauczycielki. Wymieniła każdy wywiad, którego miał udzielić w najbliższych dniach, długa lista dziennikarzy prasowych i radiowych, i telewizyjnych na bieli kartki wydała się rwącą rzeką, którą Sergio będzie musiał przepłynąć, jakby znalazł się z powrotem w innych czasach, na szkoleniu wojskowym. Z teczki wyłonił się też program retrospektywy.

Dzień 13. *Todos se van* (2015). Rozmowa z reżyserem i pytania od publiczności.

Dzień 14. *Golpe de estadio* (1998). Rozmowa z reżyserem i pytania od publiczności.

Dzień 15. *Strategia ślimaka* (1992). Rozmowa z reżyserem i pytania od publiczności.

Dzień 16–19. *Sztuka przegrywania* (2004), *Ilona llega con la lluvia* (1996), *Pojedynek* (1989) i *Águilas no cazan moscas* (1994). Projekcje bez udziału Sergia Cabrery.

Sergio pomyślał, że mógłby dodać jeszcze: *Projekcje na świecie, na którym nie ma już mojego ojca*. Pomyśl przeraził go, bo duch Fausta Cabrery był obecny w każdym z tych filmów, a w wielu z nich nie był to duch, ale obecność z krwi i kości: hiszpański anarchista, portier w hotelu dla marynarzy, ksiądz odprawiający ceremonie pogrzebowe. Nigdy, od swojego pierwszego krótkiego metrażu – opowiadającego o epizodzie z podróży Alexandra von Humboldta przez Kolumbię – nie zakończył filmu, nie zastanowiwszy się najpierw, czy spodobałby się on ojcu, nigdy nie zastanawiał się też, jak to będzie oglądać jego filmy w tym nowym, osieroconym świecie ani czy filmy mogą się zmienić, gdy świat zewnętrzny, ten świat niesfilmowany, zmienił się w tak gwałtowny sposób; czy ujęcia i dialogi stają się inne, kiedy znika osoba, bez której na wiele sposobów nie mogłyby powstać. Teraz, kiedy rozmawiał

o programie z młodą dziewczyną, podszedł do niego Octavi Martí i chciał go o coś zapytać. Zauważył, że trzy pierwsze filmy, te, które miały zostać wyświetlone w obecności Sergia, ułożono w kolejności odwrotnej do chronologicznej, od najmłodszego do najstarszego. Czy to było celowe?

„Nie, ale tak jest dobrze”, powiedział Sergio z uśmiechem. „Mieliśmy spojrzeć wstecz, prawda? W końcu okazało się, że będzie to prawdziwa retrospektywa”.

Po wyjściu z restauracji poszedł od razu do swojego pokoju. To barcelońskie popołudnie było kolumbijskim porankiem: porankiem, kiedy miało odbyć się czuwanie przy zmarłym. Chciał porozmawiać z Marianellą, która przechodziła trudny moment. W ostatnim czasie, po serii niemożliwych do rozstrzygnięcia kłótni, kontakty z ojcem popsły się, a w końcu zupełnie urwały. Dlatego kiedy odebrała telefon, w jej płaczu pobrzmiwała wściekłość, bo teraz, po tym bolesnym oddaleniu, też chciałaby uczestniczyć w śmierci ojca. Ale nikt nie uprzedził jej w porę, choćby tylko po to, by miała prawo się martwić, nie zaproszono jej też do domu ojca, żeby towarzyszyła mu w rytuałach pożegnania. „Nie powiadomili mnie”, skarżyła się Marianella. „Mówią, że opuściłam tatę w jego ostatnich latach, że na starość zostawiłam go samego... Nie rozumieją, Sergio, nic nie wiedzą i nic nie rozumieją”. Ukryte albo nigdy niewyrażone urazy, istniejące w każdej rodzinie, nieporozumienia, słowa, których się nie mówi albo które się wypowiada w złym momencie, fałszywe wyobrażenie o tym, co dzieje się w duszy albo w głowie drugiej osoby, ta skomplikowana sieć przemilczeń działała teraz na niekorzyść spokojnego dialogu i pograżona w swoim smutku Marianella mówiła Sergiowi, że ona też nie pójdzie na pogrzeb.

„Nie, nie możesz tego zrobić”, uznał Sergio. „Ty jesteś na miejscu, musisz iść”.

„A ty?”, zapytała. „Dlaczego ciebie tu nie ma?”

Sergio nie potrafił odpowiedzieć. Tłumaczył się mętnie, nalegał, w końcu udało mu się przekonać siostrę, że teraz, gdy ich matka nie żyła od dziewięciu lat, a Sergio przebywał za granicą, ona była rodziną, musiała reprezentować rodzinę.

Tego popołudnia w hallu hotelowym udzielił pierwszego wywiadu. Dziennikarka wyjaśniła, że ukaże się on w specjalnym miejscu – na tylnej okładce „La Vanguardii” – a format zmuszał ją do rozpoczęcia od krótkiego inwentarza danych biograficznych, tak więc Sergio poczuł się, jakby wypełniano jego policyjną kartotekę: miał sześćdziesiąt sześć lat, był trzykrotnie żonaty, miał czworo dzieci, urodził się w Medellin, mieszkał kiedyś w Chinach, pracował w Hiszpanii; był ateistą. Nie zaskoczyło go, że pierwsza kwestia, jaka padła po tym przesłuchaniu, nie była pytaniem, ale kondolencjami: „Współczuję z powodu ojca”. Jego własna odpowiedź natomiast go zdziwiła, nie tylko dlatego, że sam jej nie oczekiwał, ale dlatego, że doznał nagle przykrego wrażenia, że powiedział za dużo, że kogoś zdradził.

„Dziękuję”, odparł. „Dzisiaj umarł, a ja nie będę na jego pogrzebie”.

Było to oczywiście kłamstwo, jakby umyślnie chciał zgubić dwadzieścia cztery godziny, i nie miało znaczenia tutaj, na jaskrawej kanapie w hallu, mało prawdopodobne, by dziennikarka zwróciła na to uwagę, a jeśli nawet by zwróciła, przypisałaby to pewnie zagubieniu spowodowanemu przez ból, dezorientację kogoś, kto właśnie stracił ukochaną osobę. Ale dlaczego? Dlaczego właściwie skłamał? Zastanawiał się, czy to możliwe, że zawstydzził się poniewczasie swojej decyzji, by nie jechać na pogrzeb, jakby wstyd był towarzyszem podróży, który wyruszył z opóźnieniem, ale w końcu nas dopada. Dziennikarka chciała dowiedzieć się więcej o jego ojcu pochodzącym z rodziny wojskowych, którzy nie poparli zamachu stanu Franco, republikańskim emigrancie

w Kolumbii, a Sergio odpowiadał rozsądnie na pytania, chociaż to, że zdradził się z własnych emocji, wciąż go uwierało.

„Ach, więc mieszkał tutaj?”, zapytała dziennikarka. „W samej Barcelonie?”

„Niedługo, ale tak”, odparł Sergio.

„A gdzie dokładnie?”

„Tego nie wiem”, wyjaśnił Sergio. „Nigdy mi nie mówił. Nie sądzę, by pamiętał”.

Udzielił jeszcze dwóch wywiadów, a potem przeprosił Fil-motekę; był zmęczony, chciał sam zjeść kolację i pójść spać. „Jasne, tak będzie lepiej”, powiedzieli, „jutro czeka nas sporo roboty”. Wszedł do pokoju, w którym grube szyby w oknach tłumili wrzawę grupek pijących pod palmami, chciał się położyć, zamknąć oczy i chwilę odpocząć. Ale mu się nie udało. Myślał o pytaniach, które mu zadano, i o tym, jak z nich wybrnął, nieodmiennie przekonany, że rozmowa o kinie to jedna z najtrudniejszych rzeczy na świecie, bo słowa wszystko komplikują i prowadzą wyłącznie do nieporozumień. Teraz jednak był wdzięczny za ten obowiązek, który odrywał go od bólu i utrzymywał na dystans smutek. Wychwalał zekranizowaną przez siebie powieść Wendy Guerry, opowiedział też o filmie *Golpe de estadio*, komedii, w której partyzanci i żołnierze ogłaszają zawieszenie broni, by obejrzeć mecz piłki nożnej, a także o *Sztuce przegrywania* i o swojej przyjaźni z powieściopisarzem Ernestem Gamboą; i tysiąc razy, odpowiadając na pytania o *Strategię ślimaka*, musiał wspominać pokrótce o swoim ojcu, który przeżył wojnę domową właśnie tu, w Barcelonie, zanim wyruszył na wygnanie, czy też zaczął się błąkać, by w końcu trafić do Kolumbii. Ale gdzie, w jakiej części miasta mieszkał? Ojciec nigdy o tym nie mówił, a może to Sergio zapomniał.

Nie udało mu się zasnąć, zmęczenie, jeśli kiedykolwiek naprawdę istniało, jakby wyparowało mu z oczu. Być może

chodziło o zmianę czasu, bo nie minęło nawet pięć dni od wyjazdu z Kolumbii, a może o elektryczność płynącą po jego bezsensnym ciele, tak czy siak, Sergio nie zdołał wytrzymać w łóżku. Włożył marynarkę, bo temperatura gwałtownie spadła, obejrzał znalezione w pokoju ulotki, jedno ze zdjęć reklamowych mu się spodobało, i kilka minut później wchodził już na taras hotelu, szukał wolnego miejsca i siadał, żeby popatrzeć na świeżą noc, na noc starego miasta, rozciągającą się stamtąd aż do morza. Niebo rozchmurzyło się, a bryza marszczyła serwetki. Siedział przy szklanym stoliku na wysokim krześle, które sprawiało wrażenie, jakby miało zaraz spaść na ulicę. Nie miał pojęcia, co pojawiło się wcześniej: kieliszek czerwonego wina przyniesiony przez kelnerkę czy też niewygodne pytanie, które jednak znów go dręczyło: co by na nie odpowiedział, dlaczego zdecydował, że nie pojedzie do Bogoty, nie zobaczy twarzy ojca po raz ostatni? Że chciał być z Silvią i Amalią, to oczywiste, że chciał się spotkać tu, w Barcelonie, z synem Raúlem. Dobrze, ale czy to już wszystko? Czy było coś jeszcze?

W dole błyszcząły zaczynające się zapalać okoliczne światła, linia latarni przy Ramblach przyciągała wzrok i prowadziła go do portu, ku niewidocznemu pomnikowi Kolumba. Na niebie widać było światła samolotów zniżających się nad lotnisko Prat. Wyjął telefon – białe światło rozdarło wygodny półmrok baru i zwróciło uwagę sąsiadów – i sprawdził WhatsApp. Zdążył naliczyć dwadzieścia siedem wiadomości z kondolencjami, zanim dotarł do linijki od Silvii: *Jak się masz?* Odpisał: *Dobrze. Nie będę przed Tobą ukrywał, że myślę o Tobie. Chciałbym, żeby między nami się ułożyło.* Ona: *Teraz najważniejsze, żebyś myślał o tacie. Myślisz o nim?* On: *Tak, przypominają mi się różne rzeczy. Ale były to wspomnienia zniekształcone, nie można było zobaczyć ich wyraźnie albo nie chciały się pokazać, nieprzyjemne wspomnienia*



wyptywające połowicznie pośród spokojnej nocy, w samotności, która już jutro, gdy przyjedzie Raúl, będzie nie do odzyskania. *Tyle konfliktów*, napisał Sergio. *Zrobiliśmy razem tyle rzeczy, w Chinach, w partyzantce, w kinie, w telewizji, a jednak zbiór wspomnień, mimo że staram się je osłodzić, wcale nie jest pozytywny.* Uniósł wzrok, zobaczył kolejny samolot, tym razem musiał być niżej, bo hałas dał się słyszeć już z daleka. *A mimo wszystko wiem i powtarzam to, kiedy tylko mogę, że jestem uczniem swojego ojca. Nigdy nie mógłbym robić tego, co robiłem, gdybym nie dorastał w jego świecie.* Odłożył telefon i spojrzał w górę, bo samolot wciąż sunął po głębokim niebie, lecąc na południe, na lotnisko albo tam, gdzie Sergio wyobrażał sobie lotnisko. W tym momencie aparat zawibrował (pewnie odpowiedziała mu Silvia), ale nie spojrzał na ekran, bo jego wzrok, utkwiony wcześniej w samolocie albo jego małych światełkach, objął potem miasto o niskiej zabudowie, a teraz natrafił na coś innego: na sylwetkę góry spoczywającej na horyzoncie jak śpiące zwierzę, a na sylwetce na błysk światła zamku. Poczuł, że coś szarpie go w pierś, był bowiem pewny, że nie był nigdy na tym tarasie ani na żadnym podobnym w Barcelonie, ale musiał istnieć jakiś powód dla tego niespodziewanego uczucia, które ogarnęło go w tym momencie, kiedy zrozumiał, że stamtąd, z hotelowego tarasu, widać było Montjuic.